

Kto się nie zgorszy

Piotr Kaznowski

Zamieszanie wokół kampanii „Przekażmy sobie znak pokoju” trwa – taka jest mechanika tego typu wydarzeń społecznych. Gdy część katolików zaangażowanych w tę kampanię sprowadza swój udział w niej do absurdu, twierdząc, że chodziło im wyłącznie o głoszenie nauki Kościoła i przekazywanie znaku pokoju na ulicy osobom z tęgowymi bransoletami (bo tak jest na plakacie promującym wydarzenie), inni otwarcie już mówią, że chodzi o wspieranie konkretnej grupy osób zaangażowanych ideologicznie, które dokonały tzw. *coming outu*.

Mimo to chciałbym oderwać się od samej kampanii i zwrócić raczej uwagę na donioślejsze, moim zdaniem, kwestie, które ujawniły się przy okazji, a które domagają się przepracowania w – przynajmniej polskim – środowisku inteligencji katolickiej.

Pierwsza rzecz dotyczy ogólnego wyobrażenia na temat katolickiego nauczania o płciowości. Obserwując toczące się dyskusje, można dojść do wniosku, że dość powszechne jest mniemanie, jakoby Kościół w ciągu całej swej historii negował ciało, a co za tym idzie – seksualność, i dopiero pod koniec XX wieku dowartościował tę sferę życia. Dlatego na przykład wypowiedzi św. Pawła na temat „ciała” od razu bierze się w nawias bez podejmowania wysiłku w kierunku zrozumienia dość złożonej dialektyki ciało-duch w nauce Apostoła, którą odsyła się do lamusa jako „naleciałość kulturową”. Następnie wyjmuje się z kontekstu mów albo listów Ojców Kościoła skierowanych do dziewic czy kandydatów do stanu kapłańskiego co smaczniejsze fragmenty o małżeństwie, żeby rytualnie oburzać się i publicznie wstydić za tak zacofane poglądy. Dziwi, że znawcy kontekstów kulturowych nie biorą pod uwagę choćby reguł klasycznej retoryki, które mogłyby rzucić nieco światła na ton krytykowanych wypowiedzi. Gorzej jednak,

gdy osądzając Ojców, nie bierze się pod uwagę kontekstu teologicznych sporów, w jakim wykuwały się ich poglądy – jak choćby spory św. Hieronima z Jowinianem czy św. Augustyna z manichejczykami i pelagianami. Dowiemy się więc, że „Augustyn był obciążony skazą manichejską – uważał, że cielesność jest czymś jednoznacznie złym”. Jeśli rozumie się słowa, których się używa, to stwierdzenie takie mimo wszystko musi budzić co najmniej zdumienie. Trudno przecież wyobrazić sobie postawę bardziej radykalnie *antymanichejską* niż podejmowanie się współżycia małżeńskiego *wyłącznie* (co stanowi dziś kamień obrazy, a niekiedy nawet odrazy) w celu spółdzenia potomstwa, a zatem – mówiąc językiem heretyków – wyłącznie w celu pomnażania „przeklętej materii”. (Na marginesie można od razu zauważyć, że z manichejskiego punktu widzenia „najczystsza” będzie ta miłość, w której naturalna „pokusa” prokreacji nie może się zrealizować). Wydaje się więc, że wskazane by było podjęcie jakiegoś wspólnego trudu, aby nauczanie św. Pawła i Ojców Kościoła stało się przynajmniej tak gorliwie badane, jak ochoczy jest dziś osąd skierowany przeciwko nim. Przekazanie znaku pokoju św. Augustynowi – choćby i w cichości serca – nie byłoby chyba jakimś wielkim brakiem szacunku, o który zabiegać należy przede wszystkim.

Druga rzecz, poważniejsza, wiąże się z pierwszą i dotyczy samego wyobrażenia na temat miłości. Nawet jeśli trudno bezspornie wykazać historyczną korelację między manichejskim odcieleśnieniem a ideałem romantycznej miłości-namiętności (tę słynną tezę postawił Denis de Rougemont), to faktem kulturowym jest, że zachodnie wyobrażenie o „prawdziwej miłości” jest oderwane od rzeczywistości małżeńskiej. Czy będzie to karmienie pożądliwości „duchowej” od Tristana po popularne harlequiny, czy podpalanie pożądliwości „ciała” jak u Don Juana i w pornografii, to prawdziwa miłość zawsze jawi się jako namiętność podsycana nieprzekraczalnymi przeszkodami. W czasach, kiedy tak łatwo mylą się fenomeny postchrześcijańskie z nauczaniem Kościoła, nie jest być może zaskoczeniem, że ten ideał miłości próbuje się dziś usilnie kanonizować – przedstawiając go jako ideał małżeński (więcej pisałem o tym w eseju *(Re)medium concupiscentiae?*). Przeszkodą staje się tu *de facto* płodność i dlatego broniąc namiętności – która ma być gwarancją szczęśliwej więzi

małżeńskiej – tak wiele jednocześnie mówi się o metodach „planowania rodziny”. Gdy już pomyli się cielesność z samą przyjemnością cielesną, a płciowość oderwie się od płodności, jest się na terenie starego Erosa, który śpiewał kiedyś przez trubadurów. Tutaj rzeczywiście może pojawić się pole pojednania z kulturową ikoną geja – który walczy o swoją miłość już nie tylko wbrew obyczajom, jak Tristan, lecz również wbrew celowości wpisanej w naturę płci. To, co między innymi ujawniła kampania „Przeżyjmy sobie znak pokoju”, to fakt, że wielu jest dziś katolików, którzy nie widzą żadnej różnicy między miłością małżeńską a miłością homoerotyczną. Nie widzą jej, ponieważ tak bardzo wierzą w siłę Erosa, że jak wielu innych ludzi myślą dziś o swojej miłości w kategoriach „homoseksualnej gnozy”.

Symboliczne podanie sobie ręki – nie ręki dziecka Bożego podczas liturgii, gdzie „nie ma względu na osoby”, lecz poza nią, ręki przyozdobionej w emblemat ideologii gejowskiej – dość może paradoksalnie ujawnia wzajemny mimetyzm obu stron: gdzie jedna (w istocie już postchrześcijańska) w imię kanonizowanego Erosa gotowa jest fakultatywnie traktować Boży nakaz i błogosławieństwo (Rdz 1, 28: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się...”), a druga („gejowska”) chce, aby instytucjonalnie przypisano jej „fakultet” małżeństwa, który nie może jej przysługiwać z natury (czego przykładem są np. postulaty adopcyjne).

Sprawa omawianej kampanii jest tylko symptomem. Ważniejszy jest leżący u jego podstaw prawdziwy problem. Z punktu widzenia szerszej rzeczywistości Kościoła trzeba bowiem zauważyć, że tam, gdzie kanonizuje się Erosa, manifestacyjne wyciąganie ręki do siostr i braci dotkniętych jego płomieniem jawić się może tylko jako akt karygodnej hipokryzji. Zgorszenie działa przecież w dwie strony – gorszeni są małżonkowie, którym obiecuje się łóżkowe epifanie i już od początku wspólnej drogi poucza się ich o współczesnym „dogmacie NPR”; gorszeni są ci nasi bracia dotknięci kondycją homoseksualną, którzy szczerze pragną iść za obietnicami Chrystusa, lecz słyszą, że głównym celem seksualności jest budowanie namiętnej więzi: jeśli płciowość odrywa się od płodności, to jakim prawem Kościół odmawia im miłości? (Czy nie takie pytanie stawiało właśnie wielu katolickich uczestników kampanii?).

Zgorszenia rodzą się tam, gdzie nauka Chrystusa jawi się jako przeszkoda. „Błogosławiony, kto się mną nie zgorszy”, mówi jednak Pan Jezus (Mt 11, 6: μακάριός ἐστιν ὃς ἐὰν μὴ σκανδαλισθῇ ἐν ἐμοί). *Agnus Dei – dona nobis pacem!* ■